

Stanisław K L I M P E L
Warszawa

© ARCHIWUM WSCHODNIE

I/888

M e a n d r y j e d n e g o ż y c i a

Obywatele drugiej Rzeczypospolitej , zamieszkali na terenie Małopolski Wschodniej ponieśli szczególne ofiary w związku drugą wojną światową, w toku której napadli na nas dwaj sąsiedzi : zachodni Hitler i wschodni Stalin. Losy naszych obywateli niczym górskie strumienie i rzeki toczyły się w postaci gwałtownych nieraz meandrów, przypominających nieoczekiwane powodzie, szybkie zmiany kierunków, niespodziewane przełomy i rozlewiska. Wydaje mi się, że dzisiaj, gdy wolno już mówić swobodnie nie tylko o zbrodniach hitlerowskich lecz i stalinowskich, o ich podzwierzęcym nieraz absurdzie, nie tylko można, ale i trzeba z okruszków tych wspomnień żyjących jeszcze mieszkańców naszych przedwojennych ziem południowo-wschodnich tworzyć prawdziwe, realne witraże losów tych ludzi tu zamieszkałych.

W podkarpackiej wsi Krościenko, przed ostatnią wojną zwanej - w odróżnieniu od innych wsi o tej samej nazwie : obok Chyrowa, a obecnie : koło Ustrzyk Dolnych /ponieważ Chyrów zabrali nam bolszewicy/, mieszka jedyna przedwojenna mieszkanka tej wsi pani Maria Wolf, z domu Maszczak.

Oto, czego dowiedziałem się o jej losach, ściśle splecionych z historią tej ziemi, z którą i ja czuję się mocno związany, gdy mieszkałem tam w latach 1915-1927 a następnie przebywałem stale na wakacjach do roku 1931.

M i ę d z y w o j n a m i

Pani Maria urodziła się w dniu 13 października 1919 r. , gdy już na tych ziemiach, po walkach polsko-ukraińskich panował spokój, w części wsi zwanej Górnym Końcem /Horisznyj Kineć/ z ojca Stanisława i matki Elżbiety z domu Penc.

Ojciec był robotnikiem leśnym. Maszczakowie jako młode małżeństwo mieszkali w w/dzierżawionym im przez miejscowego Żyda , sąsiada domu.

W roku 1922 ojciec pⁿⁱ Marii wyemigrował do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Rodzeństwo pani Marii, zwanej w domu Minką, stanowili brat Michał i siostra Michalina.

Krościenko obok Chyrowa było wsią żywą, położoną przy podkarpackiej linii kolejowej Lwów-Sambor-Chyrów-Zagórz, posiadającą przemysł drzewny i usługi transportowe związane z eksploatacją okolicznych lasów, stanowiło ośrodek handlowy dla całej okolicy. Zamieszkiwali je Polacy, Ukraińcy / zwani pierwotnie Rusinami /, Żydzi, a w sąsiedniej, starej, jeszcze józefińskiej z końca XVIII wielu kolonii Obersdorf gospodarzyli kolonisci niemieccy, przeważnie spolonizowani.

po ukończeniu siedmiu klas miejscowej szkoły podstawowej pani Maria pracowała w domu, pomagając matce w niedużym gospodarstwie. W roku 1937 wyszła za mąż za mieszkańca Obersdorfu, Jana Wolfa.

W roku następnym urodziła im się córka Stanisława.

W o j n a

Córeczka Stasia nie miała jeszcze roku, gdy we wrześniu 1939 r. wybuchła wojna polsko-niemiecka. Mąż został zmobilizowany i udał się do swej jednostki wojskowej w Rzeszowie, z którą uczestniczył w walkach wrześniowych. Pani Maria miała o nim dwie wiadomości. Jedną od miejscowego ukraińca, który widział męża we wrześniu 1939 r. w Rzeszowie i namawiał go /po rozbiciu jego jednostki/ do powrotu do domu i drugą mniej wiarygodną od nieznanego człowieka, który był z nim rzekomo w szpitalu wojskowym na Chełmszczyźnie. Bezpośrednich wiadomości na przykład w postaci listów od męża nie miała, późniejsze poszukiwania przez Czerwony Krzyż nie przyniosły żadnych rezultatów. Pani Maria mieszkała z córeczką w Obersdorfie, z którego nieznaczną część kolonistów, uważających się za Niemców opuściła Krościenko w roku 1939, wycofując się z odchodzącymi Niemcami, którzy te tereny do Leska włącznie przekazali bolszewikom w ramach podziału Polski na strefy interesów.

Kilka rodzin kolonistów, choć nie czuli się Niemcami, po doświadczeniach z wywózkami bolszewickimi podały się za Volksdeutsch'ów i latem 1920 roku wyjechały do Generalnego Gubernatorstwa w ramach t. zw. Ubersiedlungskommission na podstawie porozumienia z bolszewikami.

Pozostali sąsiedzi pani Marii, koloniści niemieccy w Obersdorfie byli całkowicie spolonizowani, pracowali na roli lub w przemyśle drzewnym. Niektórzy z nich, jak np. pan Schmied, maszynista z tartaku był bardzo poważany także przez bolszewików i ceniony jako doskonały fachowiec.

O k u p a c j e

Lata 1939-1941, stanowiące okres pierwszego „wyzwolenia”, zwanego przez bolszewików „oswobodzeniem od knuta polskich panów”, przeżywano w warunkach - w porównaniu z przedwojennymi - trudnych, ale umożliwiających wegetację. Niestety dotknęło rodziny leśników, osadników rolnych na parcelacjach, których zimą roku 1940 wywieziono w głąb ZSRR oraz rodziny aresztowanych, wysiedlonych w kwietniu 1940 r.

Gdy hitlerowcy w czerwcu 1941 roku przepędzili swych sojuszników, /nazywali to „uwolnieniem od hord bolszewickich”, nastawały coraz trudniejsze czasy. Istniały bardzo duże trudności w otrzymaniu żywności a ponadto policja ukraińska, ściśle współpracująca z Niemcami, prześladowała przede wszystkim Żydów, dla których utworzono getto na krościenkim tartaku oraz Polaków, a nawet popierała banderowski ruch szowinistów ukraińskich, działających pod hasłem: „śmierć Lachom ta żydowski komuni” /śmierć Polakom i żydowskiej komunie/.

Matka pani Marii otrzymała w roku 1943 od banderowców polecenie opuszczenia Krościenka, co łącznie z bardzo trudną sytuacją gospodarczą spowodowało, że pani Maria z matką w czerwcu 1943 roku i z drugą córeczką Teresą wyjechała do Nowego Targu, do siostry matki. W pobliżu z rodziną męża, przesiedloną przez Niemców do Muchacza koło Wałowic, przebywała już starsza córka Stasia. Bytowanie w Nowym Targu

było wprawdzie trudne, jednak bez porównania łatwiejsze niż w Krościenku przede wszystkim z powodu braku zagrożenia ze strony coraz bezkarniej działających banderowców. Kiedy bolszewicy wypędzili hitlerowców poza krakowskie i nastąpiło już trzecie „wyzwolenie” / od „zwierza hitlerowskiego” - jak mówili bolszewicy/, pani Maria nie mogła już dłużej wytrzymać w dalekim Nowym Targu, postanowiła wrócić na swoje, do swego rodzinnego, ukochanego Krościenka. Zdecydowała na razie udać się tam sama, pozostawiając córeczkę Teresę z matką a Stasię z rodziną męża. Prawie sto kilometrów przebyła na piechotę, a następnie pociągiem linii podkarpackiej dobrnęła do granicy, znajdującej się już nie w Lesku, lecz w Ustianowej.

Z n o w u u b o l s z e w i k ó w

„Nie miałam żadnych dokumentów - mówi pani Maria - kiedy w dniu 26 kwietnia 1945 roku znalazłam się na stacji kolejowej w Ustianowej. Takich jak ja pasażerów, jadących z zachodu do swych miejscowości, zajętych obecnie przez bolszewików, było wielu. Graniczne NKWD załadowało nas na samochody ciężarowe i zawiozło do Chyrowa, gdzie na punkcie przesiedleńczym byłam przez dwa dni przełuchiwana pod zarzutem szpiegowstwa, a następnie pozwolono mi pójść do domu, do Krościenka. Wydukało mi się, że przekonałam swego „sledowatiela”, że nie jestem żadnym szpiegiem, że tylko wracam do swego domu z wojennej tułaczki, podobnie jak inni współtowarzysze, którzy byli na robotach przymusowych w Niemczech lub na uciekinierce przed banderowcami w centralnych ziemiach Polski. Syna mej kużynki, który był na robotach w Niemczech a wracając zatrzymał się w Nowym Targu, już w Ustianowej zabrali do Armii Czerwonej.

Gdy wróciłam do Krościenka byłam przerażona zniszczeniem mej wsi rodzinnej. Najbardziej było zniszczone centrum wsi ze stacją kolejową, blokami kolejowymi, domami we wsi, które prawie wszystkie były spalone, zburzone, gdyż wzdłuż szosy, która przecinała wieś, toczy-

ły się zażarte walki sowiecko-niemieckie w lecie 1944 r., gdy hitlerowcy wycofywali się z tych ziem. Prawie wszystkie domy na kolonii Obersdorf były zniszczone. Najmniej ucierpiał Górny Koniec, gdzie się urodziłam.

Jednakże moja wolność trwała tylko dwa dni, po których miejscowy NKWD-ysta aresztował mnie i odstawił do Chyrowa. Tam mnie uwięziono i znowu przesłuchiwał mnie „sledowatiel”, zarzucając mi, że jestem szpiegiem. Moje wyjaśnienia, tłumaczenia nic nie pomogły. Przeniesiono mnie do większego, obwodowego więzienia w Drohobyczu, gdzie mnie już nie przesłuchiowano. Z Chyrowa przywieziono tam ze mną między innymi Ukrainkę Stefanię Zuk ze Starzawy.

Strażniczkami w drohobyckim więzieniu, które nazywano też „brygádkami”, choć była to nazwa właściwa dla lwowskiego więzienia mieszczącego się przy ulicy Kazimierzowskiej, w dawnym klasztorze św. Brygády, były tylko przyjezdne z wschodu, przeważnie Rosjanki i Ukrainki zabużańskie. Nieprzystępne, bardzo oficjalne ostro przestrzegały reżim więzienny, starając się go raczej zaostrzać niż stwarzać jakieś ulgi dla więźniarek.

Większość z nas stanowiły ~~miejscowe~~ miejscowe Rusinki, czy Ukrainki. Nas, Polek było znacznie mniej, przeważnie z Sambora, Mościsk, Komarna i okolic. Trzymałyśmy się razem. Były wśród nas rolniczki, jak ja, nauczycielki, urzędniczki, przeważnie posądzane o przynależność do Armii Krajowej. Tylko ja jedna byłam oskarżana o szpiegowstwo. Ale od czasu, gdy mnie przywieziono z chyrowskiego więzienia, ani razu nie byłam przesłuchiwana. Natomiast inne współwięźniarki Polki były wzywane nocami i męczone przesłuchiwaniem. Wmawiano w nie, że należały do Armii Krajowej, która zamiast walczyć z Niemcami zabijała pokryjому żołnierzy Armii Czerwonej. To było oczywiste kłamstwo, żadna z oskarżanych nie przyznawała się, nie udowodniono żadnej zarzucanego wrogiego działania, ale jednak żadnej nie zwolniono.

Na-tomiast Rusinki, czy Ukrainki, przeważnie młode dziewczęta więziono pod zarzutem przynależności do ukraińskiego podziemia nacjonalistycznego /UPA -Ukraińska Płdopilna Armia/, do banderowców. Pochodziły z różnych wsi obwodu drohobyckiego.

Często w ciągu nocy lub nad ranem wracały pobite i zapłakane, co bardzo źle wpływało na ich współwięźniarki, szczególnie te, które były z nimi spokrewnione lub pochodziły z tych samych miejscowości, obawiały się, że będą tak samo przesłuchiwane.

W ciągu dnia w przepełnionych celach, w których leżałyśmy pokotem na siłnikach z resztkami słomy, najczęściej wspominało się czasy przedwojenne, w których życie było normalne. Wspominałyśmy nieraz ten okres, a w nim koleżanki Żydówki, sąsiadów Żydów, których Niemcy wymordowali. Rano i wieczorem modliłyśmy się, oddzielnie Polki, oddzielnie Rusinki, ale pieśni kościelne i cerkiewne powszechnie nam znane, śpiewałyśmy często razem.

Wszystkie wiedziałyśmy jak postąpili bolszewicy z więźniami w roku 1941, gdy uchodząc po napadzie niemieckim z naszych ziem wymordowali wszystkich nie tylko więźniów ale i aresztantów, w ramach tak zwanej likwidacji więzień we Lwowie, Złoczowie, Samborze, Dobromilu. Toteż gdy w więzieniu rozeszły się wiadomości, że szykuje się wywóz z drohobyckiego więzienia na wschód, nie bardzo w to wierzyłyśmy a za to bardzo bałyśmy się, by to nie był wywóz na tamten świat.

Jedzenie było bardzo marne. Otrzymywaliśmy je trzy razy dziennie. Na śniadanie chleb i ^akawa, na obiad ziemniaki lub kasza, przeważnie pęczak, czasem ryba kilka a na kolację kawa i chleb. Po takim jedzeniu byłyśmy zawsze głodne.

Po trzech czy czterech miesiącach pobytu w drohobyckim więzieniu przeprowadzono komisję i bez żadnego wyroku wygnano nas na boczne tory stacji kolejowej, załadowano nas do wagonów towarowych i wywieziono."

P o d r ó ż w n i e z n a n e

,Nikt z nas nie wiedział, dokąd jedziemy. Nie miałam żadnego wy-

roku , sądziłam więc , podobnie jak i inne więźniarki, że wywożą mnie do innego więzienia, gdzie będą dalej przesłuchiwana. Inne koleżanki twierdziły, że napewno wywiozą nas odazą do jakiegoś obozu/lagru/ daleko na wschodzie. Wszystko ograniczało się do domysłów, niczego konkretnego nie wiedziałyśmy .

W wagonie towarowym z narami, do którego nas wepchano , najgorszy był straszny zaduch, tam panujący, gdyż wagon był zamknięty a małe wentylatory działały słabo i nie sprzyjały wymianie powietrza. Z potrzebami fizjologicznymi chodziłyśmy do takiego urządzenia wmontowanego w ścianę wagonu, które przypominało tubę gramofonową. Odchody spadały bezpośrednio na zewnątrz, ale zapach pozostawał.

Jedzenie otrzymywałyśmy nieregularnie, rzadko tylko ciepłe. Do jedzenia dostawałyśmy przede wszystkim źle przyrządzony pęczak i chleb w bardzo małej ilości, jakąś cienką zupę, kawę zbożową.

Do picia i dla potrzeb sanitarnych dawano nam na cały wagon i na dobę jedno wiadro wody, co absolutnie nie wystarczało. Stąd brud, plaskwy, wszy. Staraliśmy się walczyć z wszami, ale było to bardzo trudne, gdyż leżałyśmy pokotem jedna przy drugiej i wszy wędrowały po nas.

W transporcie nie znałam bliżej nikogo prócz Rozalii Horun z podchrowskiej Suszycy, z którą przebywałam w drohobyckim więzieniu.

Wszyscy w transporcie byli traktowani jako banderowcy, jeśli byli Ukraińcami , lub jako faszystowscy AK-owcy , jeśli byli Polakami.

Podróż w nieludzkich warunkach trwała 22 dni i skończyła się na stacji docelowej , którą okazała się Workuta.

W W o r k u c i e

Gdy przybyliśmy na stację na dwudziestym szóstym kilometrze rozładowano nas transport na tamtejszym punkcie przesiedleńczym. Ja byłam przeznaczona do budowy baraków na 26~~4~~ kilometrze, aby w nich umieścić dalsze partie lagrowców, którzy mieli tam budować tory kolejowe. Znajdowała się tam już wąskotorówka oraz jeden normalny tor kolejowy

dla wywozu węgla z Workuty. Ale, gdy przyjechaliśmy na 26 kilometr sprawdzano nasz stan sanitarny i felczer, który pochodził ze Lwowa stwierdził, że mam straszną wszawicę głowy, której nabawiłam się podczas podróży z Drohobycza do Workuty. Na głowie miałam jeden wielki kołtun i strup z wszami. Felczer przewiózł mnie na pierwszy kilometr, gdzie znajdowała się izba chorych i tam ściął mi ten kołtun, zostawiając z przodu tylko niewiele włosów, jakby grzywkę. Wysmarował głowę tranem rybim, posypał głowę jakimś proszkiem, obandażował ją gazą i kazał mi przyjść następnego dnia. Po tym zabiegu całą noc nie spałam, strasznie bolała mnie głowa, piekło mnie niesamowicie. Działo się tak mimo, że byłam bardzo zmęczona a warunki na izbie chorych były bez porównania lepsze niż w więzieniu czy transporcie.

Następnego dnia felczer odwiązał mi gazę, stwierdził, że wszy już chyba nie ma, ale na wszelki wypadek powtórzył wczorajszy zabieg i polecił mi się zgłosić w dniu następnym. Noc tę przespałam dobrze. Śniła mi się mama, która w naszym domu w Krościenku sadziła ziemniaki na polu. Był piękny wiosenny dzień, słońce stało wysoko już nad szczytem Oratyka a daleko szumiał potok Stebnik. Zbudziłam się jakaś spokojna, jakby nie na msyłce w Workucie, lecz w mojej rodzinnej wsi. Gdy przyszłam rano do felczera zdjął mi gazę i uznał za wyleczoną, w związku z czym kazał mi się udać na miejsce mej pracy na dwódziesty szósty kilometr, ale powiedział: „jeszcze dzień posiedźcie sobie tutaj, byście sobie wypoczęli”. Był to bardzo ludzki człowiek, dobroć biła od niego. Mówił po polsku i ukraińsku, wszyscy go bardzo chwalili. Miałam szczęście, że na niego natrafiłam.

Kiedy popołudniu wróciłam na 26-ty kilometr pytały mnie dziewczyny - większość z nich to były Ukrainki z naszych terenów - jak tam było w izbie chorych, jak mi tę wszawicę usunięto. Opowiedziałam im wszystko dokładnie a one poradziły mi, abym tę grzywkę też ścięła, bo mogą być w niej żywe gnidy, choć większość z nich już poczerniała. Posłuchałam je i ścięłam resztę włosów, gdyż bardzo się bałam wszy.

Powrót do brygady, w skład której wchodziło 10 do 16 kobiet w różnym wieku, przeważnie jednak młodych, oznaczał konieczność ciężkiej pracy, najpierw przy budowie baraków dla nowych więźniów a następnie torów kolejowych. My kobiety wykonywałyśmy tak na budowie jak i na torowiskach wszystkie prace, przede wszystkim niekwalifikowane. Ale były już kobiety przyuczone, które pracowały jako ciśle, murarze, tykcarze. Praca była ciężka, określona normami, które musiałyśmy wykonywać, by dostać jedzenie przysługujące dobrze pracującym. Z wyjątkiem noszenia i układania szyn, co wykonywali mężczyźni, my kobiety robiłyśmy wszystko.

Jedzenie było bardzo marne, niesmaczne i niewystarczające do zaspokojenia głodu przy tak ciężkiej pracy. Roboty wykonywałyśmy w deszczu, śniegu, zawiei, stąd każdy krok bywał bardzo trudny. A musiałyśmy nosić ciężkie szwele / progi kolejowe/, przerzucać z wagonów i na tory tłuczeń, żwir, podsypkę. Brygadzistka pilnowała, byśmy robotę dobrze wykonywały.

Z dwudziestego szóstego kilometru cofnęli nas na dwudziesty piąty kilometr, gdzie budowałyśmy baraki. Było to nieco lżej, gdyż w razie deszczu czy śniegu można było się schronić pod dachem. Następnie wzięli nas na pierwszy kilometr, w końcu zaś na „centralkę”, w samej Workucie, skąd chodziliśmy do pracy na kolei w Workucie.

Mieszkałyśmy w przeludnionych barakach. Spałyśmy na zapluskwionych narach drewnianych, po barakach latały szczury. Na marne wyżywienie składał się bardzo niesmaczny i w małych ilościach chleb, zupa z pęczaku, czasem też pęczak na gęsto z rybą kilką, rzadziej śledzie. Takie jedzenie powodowało, że ludzie byli słabi i często chorowali. Dostawali kurzej ślepoty, zapadali na powszechną wśród lagrowców cynkę, straszną chorobę, wskutek której ciekła krew z dziąseł i ruszały się zęby, czerwoność, bardzo łatwo się przeziębiali, doznawali odmrożeń - szczególnie uszy, twarzy, ręce, nogi. Byłyśmy bardzo słabe a jednak musiałyśmy pra-

cować i wykonywać narzucane nam normy, by korzystać z kotła, którego porcje dawały możliwość wegetacji.

Ra-z na dziesięć dni chodziliśmy na kąpiel do bani. Była to dla nas bardzo duża przyjemność. Mogliśmy do woli używać gorącej, ciepłej i chłodnej wody. Staraliśmy się umyć jak najlepiej, odświeżyć skórę przepoconą latem a zmrożoną zimą.

Zima była w Workucie i jej okolicy surowa. Silne mrozy zmuszały do odziewania się w sposób, który zaniepieczyłby przed mrozem. Ale - niestety nie było w co. Fufajki trzeba było pilnować jak oka w głowie by nie ukradli, a bez niej nie było mowy o osłonie przed mrozem. Chodziliśmy do pracy normalnie, nie zważając na mrozy, śniegi i zawieje.

Krótkie lato w tundrze panowało od połowy czerwca do połowy sierpnia. Wtedy kwitły tam przyłaszczki zupełnie podobne do naszych oraz rosła rzepa - „turnep”.

Postawiłem pani Marii pytanie: „czy przypomina sobie Pani kogoś, kto był z panią w Workucie?”

„Tyle lat już minęło - mówi pani Maria - ,że trudno sobie przypomnieć imię czy nazwisko. Ale kilka osób utkwiło mi w pamięci. W tym byraku, w którym mieszkałam na pierwszym kilometrze, gdy-ż i tam pracowałam, była jedna Polka, może w moim wieku, może nieco młodsza, na imię Stasia, jak się pisała / jakie miała nazwisko, przyp. S.K./, nie wiem. Pochodziła z Sambora.

Natomiast na 26-tym kilometrze były ze mną trzy Polki. Pani Pograniczna, chyba Teresa, była nauczycielką, pochodziła wydaje mi się z Komarna, a może ze Stryja lub Drohobycza. W każdym razie z naszych okolic. Były jeszcze dwie, młodsze jeszcze ode mnie, chyba niezamężne dziewczyny z Komarna, aresztowane i wywiezione za przynależność do Armii Krajowej. Jedną z nich Aniela była blondynką, druga brunetką. Jej imienia nie pamiętam. Po pewnym czasie te dwie młode z 26-tego kilometra zabrali, pani Pograniczna pozostała.

Na tym 26-tym kilometrze przesłuchiwa~~ły~~ mnie kilkakrotnie oficer NKWD, któremu tłumaczyłam uparcie, stale mówiąc to samo, że jestem niewinna, że wracałam do swego domu w Krościenku, do mojej wsi, z której uciekłam ze strachu przed banderowcami oraz przed głodem. Nigdy nie byłam szpiegiem, do żadnej organizacji nie należałam, bo jej na naszej wsi wśród Polaków nie było. Najlepszy dowód na to, że zarzut szpiegowstwa został przez kogoś wymyślony a nie^{ma} niczego wspólnego z rzeczywistością jest to, że po przewiezieniu mnie do Chyrowa z granicy, po dwu dniach mnie wypuszczono. Widocznie komuś w Krościenku przeszkadzałam, kto doniósł na mnie. Gdyby mnie przesłuchiwano w Drohobyczu podałamby świadków wiarygodnych znających mnie od lat w Krościenku i ci zeznali~~by~~ by prawdę, że żadnym szpiegiem nie byłam.

Takie przesłuchania w legrze workuckim odbywały się ze mną kilka razy na początku roku 1946.''

L u d z i e w W o r k u c i e

Zapytałem panią Marię, czy wśród nadzoru spotkała ludzi^Y dobrych, porządnych i złych, o których w lagrach workuckich tak wiele napisano ?

„O tak - powiedziała pani Maria - ludzie byli różni. Ale spotykało się i dobrych, rzetelnych. Miała^m brygadzystkę, Rosjankę, która raz, gdy mi w kuchni odmówiono wydania obiadu, który rzekomo miałam już poprzednio zabrać, dała mi swój obiad. Ona też raz, gdy byłam słaba, źle się bardzo czułam, skierowała mnie do izby chorych na odpoczynek. Bo miała takie prawo i z niego dla naszego dobra korzystała.

Był też taki starszy już kosganin, imieniem Pietia, traktowany jako „wolnonajomny” / z wolnego najmu, nie więzień, przyp. S.K./, polityczny poprzednio więzień, który poruszał się swobodnie, gdyż odsiedział już swoich dziesięć lat. Był on dziesiątnikiem. Miał taką malutką kajutkę w „instrumentalce”, gdzie składowaliśmy narzędzia i gdzie też spisywano protokoły przy oddawaniu narzędzi uszkodzonych, zepsutych, nie nadających się^Y już do pracy. Ten Pietia był bardzo ludzki, serdeczny nie z namo rozmawiał, pomagał, jeśli tylko mógł.

Miałyśmy też dwu pilnujących nas żołnierzy, nie enkawudystów, a wojskowych : Lonię i Miszę. Byli oni dla nas bardzo dobrzy. Inne brygady musiały chodzić w szyku czwórkami , w szeregu. A ci żołnierze pozwalali nam iść do pracy i z powrotem swobodnie, rozmawiali z nami, żartowali, pozwalali oddać się na tundrę, by zbierać kwiatków. Lubiałyśmy ich, gdyż naprawdę byli dla nas bardzo ludzcy. Kiedy Misza zagwizdał na powrót z pracy, cieszyłyśmy się. Nie robili żadnych różnic między nami. Jednakowoż dobrze traktowali Polki, Ukrainki i Rosjanki.

Spotkałyśmy też dobrą Eskimoskę. Nie wiem do jakiego narodu należała, gdyż było tam wiele różnych narodowości, była tamtejsza, jej języka nikt z nas nie rozumiał. Jednego dnia siadłyśmy do dużej łódki, mieszczącej do ośmiu osób, by przejechać na drugą stronę rzeki Workuty, nad którą na wysokim brzegu leżały nasze baraki. Stale tą łódką jeździliśmy do pracy i powracałyśmy z niej. W tym dniu usiadł do wiosła jakiś mężczyzna, który zamiast łódkę skierować na spokojny nurt rzeki, wprowadził ją na wiry. Rzeka była głęboka, aż zielona od tej głębi, na wirze groziła nam katastrofa, w której napewno potonęłybyśmy. Ratrzykałam na jadące ze mną koleżanki, wszystkie pobledły, widać było w ich oczach przerażenie. Łódkę wir znosił na środek rzeki, gdzie był bardzo silny prąd. Wtedy jadąca z nami Eskimoska, widocznie znająca dobrze rzekę jako tamtejsza mieszkanka, odebrała nieszczęsnemu wiosłarzowi wiosła, coś od nosu zabormotała i bardzo umiejętnie wyprowadziła łódkę z wiru na spokojny nurt a następnie dowiozła nas do drugiego brzegu. Dziękowałyśmy wszystkim jej bardzo serdecznie, ale ona nas nie rozumiała i tylko na mgi pytała nas, czy udać się po pozostałe na drugim brzegu nasze koleżanki. Gdyśmy ją o to poprosiły, popłynęła i przywiozła je.

koleżanki opowiadały nam, że były przerażone, gdy widziały jak nieumiejętny wiosłarz nie może sobie dać rady z łódką, były pewne, że potonemy. Widziały wyraźnie jak świetnie prowadziła łódkę Eskimoska i one też jej za uratowanie nas dziękowały.

Spotkałam więc także w Worskucie ludzi dobrych w nadzorze i wśród tamtejszych mieszkańców.

Ale byli też ludzie bardzo zli, zdarzały się gadziny, które starały się nam jak najbardziej dokuczyć, obrzydzić nam do cna to trudne życie obozowe.

Do takich należał dozorujący nas żołnierz, który zastąpił Lonię i Miszę, gdy poszli na urlop.

Nie wiem dlaczego nazywano go „Rzymianin”. To była pierowska gadzina. Młody, szczupły, średniego wzrostu brunet o smagłej cerze, czarnych oczach, zawsze ponury, nigdy się nie odzywał, nigdy się nie uśmiechnął. Musiał^yśmy iść w szeregu a gdy przychodziliśmy do pracy, wbił drewniany kołek w ziemię niedaleko naszego miejsca pracy, siadał na torach i mówił, oczywiście po rosyjsku: „Woino chodzić tylko do tego, zaznaczonego kołkiem miejsca. Kto pójdzie dalej, będzie zastrzelony.” A gdy go spytałyśmy, czy nie można pójść dalej z naturalną potrzebą, zakazał oddalać się poza~~z~~ kijek z jakiegokolwiek przyczyny a więc także potrzebę załatwić przed jego znakiem. Tylko do tego kołka woino dojsć. Wtedy Rosjanki mówiły: „Jeśli chcesz, budiem sraty zdes i obraszczatj zopy k niemu” / jeśli chce, ~~możemy~~ ^{będziemy} srać tutaj i zwracać dupy do niego. I rzeczywiście bałyśmy się wchodzić poza znak „Rzymianina” i załatwiłyśmy potrzeby fizjologiczne przed tym znakiem, a więc blisko nas wszystkich i dozorcę. Niektóre dziewczyny zasłaniały się, ale inne śmiało obracały się do niego dupą, na co on nie zwracał najmniejszej uwagi. Ciągłe patrzył na zegarek i pilnował, by żadna z nas nigdzie się nie oddaliła.

Patrząc na to i słysząc te grubiańskie słowa, wracałam myślą do swego domu, do naszej wsi Krościenko, gdzie większość ludzi była mało wykształcona, rolnicy, robotnicy trochę inteligencji i Żydów zajmujących się przede wszystkim handlem. Nikt nie używał ordynarnych wyrazów, kudy, stanowiących wyjątek, którzy sobie na to pozwalali, zwano poprostu cnamami.

W domu, szkole, kościele, cerkwi czy ~~inaczej~~ ~~chętniej~~ uczone grzeczności wobec wszystkich ludzi a szczególnie w stosunku do starszych i kobiet, zakazywano używania wulgarnych słów, słyszanych naprawdę bardzo rzadko. Wśród mieszkających w Krościenku, Polańcu, Rusinów /Ukraińców/, Żydów, czy kolonistów niemieckich sprawy fizjologiczne należały do wstydlivych, co wdrazano od dziecka. Nic więc dziwnego, że nas, więźniarki z terenów zajętych podczas wojny przez bolszewików bardzo różny stosunki panujące pod tym względem u większości Rosjan i większości naródów, zamieszkujących ZSRR.

Nasz dozorca „Rzymianin” bardzo często przeklinał i wyzywał nas, mówiąc między innymi: „Robotaj, robotaj, ty bandierowska bładuga. Tobie zdieś wiecznaja mogiła” /pracuj, pracuj, ty kurwo banderowska. Dla ciebie tu wieczny grób/.” Nasze Ukrainki nie pozostawały mu dłużne. Zawsze znalazły jakąś deherwującą go odpowiedź. Mawiały: „Prędzej czy później my wrócimy do naszych domów, gdzie będziemy żyły szczęśliwie i inaczej niż wy tutaj. A tobie tu wieczny grób i ciągle wyrzuty sumienia, że nie jesteś człowiekiem!” Nieraz się denerwował i darł się: „Małczy, swołocz!” Ale my wtedy śmiałyśmy się, bo wiedziałyśmy, że będzie musiał myśleć o tym, co mu powiedziałyśmy. A nasze Ukrainki śmiały się ze mnie, że i ja zostałam „bandierowską bładugą.”

Jednego razu, gdy wracałyśmy z pracy, spotkałyśmy taką znajomą naszej kolezanki, Rosjanki Zoji, która przebywała w obozie już po odbyciu wyroku i pracowała jako „wolnonajomna”. Zapytała ona naszą koleżankę Zoję, co by jej przynieść do jedzenia, gdyż wiedziała z własnego doświadczenia, że jesteśmy stale głodne. Wówczas ten niegodziwiec nasz nadzorca krzyczał, że nie pozwoli niczego nam przekazać. Darł się do niej: „Piatj szegow nazad, a to budu strielatj” /pięć kroków wstecz, a to będą strzelać/. Nie dawał żadnego przystępu do naszego szeregu. A gdy następnego dnia, ta koleżanka i przyjaciółka Zoji przybiosała kuchenek chleba i rybę, ten strażnik jej do nas nas dopuścił. Oczywiście

Zoja wyzywala go ordynarnie, zyczyła mu wszystkiego najgorszego ,na co on wcale nie reagował.Nienawidziliśmy go całym sercem, ale na nasze szczęście opuścił on nas,wrócili Lonia i Misza, których powitałyśmy radośnie.

Oprocz pracy na torach kolejowych byłam też zatrudniona w kopalni węgla w Workucie przy zakładunku na samochody ciężarowe „porody”, ziemi i kamieni wydobywanych z podziemia przy eksploatacji węgla.Praca była bardzo ciężka a normy wysokie.”

Czy i jak obchodziliście święta ?- zapytałem.

„O świętach- mówi pani Maria , zawsze pamiętałyśmy.Zarównp Polki jak Ukrainki starałyśmy się zawsze coś z jedzenia oszczędzić, zachować z nędznych przydziałów, auy taki dzień, czy choćby jego część ,np. wieczór przypominał nam dzień świąteczny, spędzany na wolności.Dzieliłyśmy się , składając sobie życzenia chlebem jak opłatkiem w dniu Wigilii Bozego Narodzenia, śpiewałyśmy kolędy po polsku i ukraińsku, a w dniu Zmartwychwstania Paskiego, pieśni wielkanocne.Czesem trafiał się jakiś- dla naszych warunków - przysmak, na przykład cukier w kostkach, lub cukierki.Niektore z nas czasem otrzymywały paczki od rodzin, wtedy z zasady dzieliłyśmy się tymi paczkami.Nie było przypadku, by ktoś sam jadł swoją paczkę.

W takich świątecznych dniach mowiło się przewaznie o jedzeniu, jakie bywało w domu np. na Wigilię Bozego Narodzenia, gdy spożywało się dwanaście różnych postnych potraw z rybą włącznie.Wspominało się święconki wielkanocne , dzielenie się jajkiem i różne spożywane wtedy smakołyki.Z rozrzewnieniem wspominało niespotykane tu w obozie potrawy i przyrzekano sobie, że po powrocie do domu nie będziemy więcej grymasić w jedzeniu.

Prawie wszystkie nasze kobiety i dziewczęta modliły się, robiły różańce z chleba i nitek i wiele czasu poświęcały modlitwie przy pomocy różańca.Jednakże w czasie mego pobytu w Workucie nie spotkałam

zadnego księdza ani nie brałam udziału we wspólnych nabożeństwach?"

Czy w czasie pobytu w Workucie pani kiedyś chorowała? - postawiłem kolejne pytanie.

„Tak, -mowi pani Maria- raz bardzo mocno się przeziębiam. Gdy już tam dłużej byłam w łagrze, to nas przemieszali. Były z nami dziewczyny i kobiety także z Wołynia i Rosjanki z całej Rosji. Pewnego dnia, gdy siedziałyśmy w czasie odpoczynku, nadszedł jakiś chłopak nie w łagrowym ubraniu, który już odbył karę i pracował jako „wojnonajomny”. Zatrzymał się przed jedną z dziewczyn z Wołynia i zapytał: „Maryjko- czy ty mnie nie poznajesz?”. Ona popatrzyła na niego, chwilę się zastanawiała i po chwili powiedziała: „Ty pewnie u mego ojca uczyłeś się szwstwa, czy tak?”. „Tak, -odpowiedział chłopak - terminowałem u Twego ojca, nauczyłem się szwstwa. Czym mogę ci teraz pomóc? Tu niczego nie ma prócz chleba, przyniosę ci bochenek”.

I rzeczywiście następnego dnia przyniósł jej bochenek chleba, który ona pokrajała nożem i rozdała nam wszystkim w brygadzie. Chleb był zimny, chciało się po nim pić, a że wody nie było, jałłyśmy śnieg. Wtedy się bardzo przeziębiam. Lekarz zapisał mi lekarstwa i kazał leżeć w baraku. Miałam bardzo silną gorączkę, trzępało mnie, traciłam przytomność. Przez dwa tygodnie leżałam tak pod opieką koleżanek, które przynosiły mi jedzenie i lekarstwa. Gdy koleżanki szły do pracy, leżałam samotnie i rozmyślałam o swym losie. Traciłam nadzieję, że zobaczę me córeczki i matkę, że będę jeszcze kiedykolwiek w Krościenku, które wtedy jawiło mi się w całej swej krasie. Widziałam bystry Stebnik, szybko mknący ku Strwiążowi, nasze góry Dział, Oratyk, Kiczera, Gliwę, Karaszyn. Ale czasami, gdy się czułam lepiej miałam nadzieję, że jednak zobaczę moją Stasię i Teresę, że wrócę do mej ukochanej wioski. Po dwu tygodniach wyzdrowiałam, byłam jednak bardzo słaba. Musiałam pójść do pracy.

Raz, gdy byłam bardzo słaba, ale nie miałam gorączki, nasza bry-

gadzistka skierowała mnie do izby chorych, gdzie trochę przyszłam do siebie, gdyż odpoczywałam i miałam trochę lepsze jedzenie." Powoli czułam się coraz lepiej i prawie zdrowa wtóciłam do pracy."

Czy była pani podczas swego więzienia gdzieś bita? - zapytałem panią Marię.

„Nie- odpowiedziała pani Maria. Nigdzie mnie nie tknęto. Ani, gdy mnie przesłuchiwano w Chyrowie pod zarzutem szpiegowstwa, gdy przekroczyłam granicę w Ustianowej, ani w więzieniu w Drohobyczu, ani w lagrze workuckim. Innych bito i to mocno, szczególnie tak zwanych banderowców, ukraińskich nacjonalistów w Chyrowie. Skarżyły się także niektóre wracające z przesłuchań Ukrainki w Drohobyczu, że siłą wymuszali zeznania.”

Jak się przedstawiała w Workucie sprawa odzieży? - zapytałem.

„Aby przetrzymać panujące tam niskie temperatury i śniegi dostawaliśmy walonki, watowane spodnie, w czasie wysokich mrozków kożuchny, ciepłe czapki uszatki. Kto miał chustki wełniane ubierał je w dni mroźne. Bardzo źle było z wymianą odzieży, gdy się zniszczyła. Było niezwykle trudno dostać nowe buty, walonki, spodnie. Bardzo źle było z bielizną osobistą, sukienkami.

Jeśli chodzi o odzież, to niezwykłą, dokuczliwą plagą było złodziejstwo. Powszechnie wszystko kradziono. Mnie ukradziono buciki i kurtkę, a gdy się żaliłem jednej Rosjance i zamierzałam donieść o kradzieży komendantowi baraku, wówczas mnie ta Rosjanka ostrzegła, abym tego nie robiła, ponieważ złapana i ewentualnie ukarana złodziejka zadźga mnie potem nożem. Nie poskarżyłam się więc, bojąc się zemsty złodziejki. To sprawiało, że złodzieje, szantażujący więźniów pozostawali bezkarni i dalej okradali współwięźniów.

Przetrzymałam jednak to wszystko i po rocznym pobycie zostałam zwolniona z lagru. Wypuszczono mnie późną jesienią roku 1947. Wyjechałam z pięcioma innymi koleżankami pochodzącymi z naszych ziem, Dosta-

zysmy bilety kolejowe do Lwowa, po półtora bochenka chleba na drogę i półtora pudełka konserwy rybnej. Po kilku dniach podróży byłam tak głodna, że sprzedawałam otrzymane na drogę buciki skorzane, by móc sobie kupić coś do zjedzenia. Do Krościenka przyjechałam więc boso. Byłam jednak tak szczęśliwa, że jestem w swojej rodzinnej wsi. Teraz moim zadaniem było nawiązanie kontaktu z matką i córeczkami.

„Zaprietnaja zona”

tereny położone sto kilometrów od granicy sowieckiej nazywano strefą zakazaną, w której nie mogli mieszkać byli więźniowie. Ponieważ tam byłam urodzona i całe swe życie tam mieszkałam miałam nadzieję, że nie będę miała żadnych kłopotów z tak zwanym „przypisaniem”. Wobec tego, że mój dom był zajęty pod ośrodek zdrowia, kluczyłam między znajomymi i wydawało mi się, że nie będę miała kłopotów w związku z moim pobytem w „zaprietnoej zonie”. Jednakże tylko trzy miesiące udało mi się przebywać w Krościenku. Pewnego dnia aresztowano mnie i dostarczono do Chyrowa. Tam w sądzie tłumaczyłam, że odbyłam karę, choć bez wyroku w Workucie, gdzie przebywałam rok, że od urodzenia mieszkałam w Krościenku i że „przypisanie” mi się należy. Moje tłumaczenia nie przekonały sędziego. Za przebywanie w strefie zakazanej zostałam skazana na rok więzienia, którą to karę miałam odbywać w Samborze.

W i ę z i e n i e w S a m b o r z e

Jak u nas mówiono więzienie w Samborze było łagodniejsze niż w Drohobyczu, znanym mi z pobytu przed wysyłką do Workuty. Mając za sobą Drohobycz i Workutę i będąc spokojna o córeczki, które przebywały pod bardzo dobrą opieką, bo Stasia w Niemczech u rodziny męża a ^{Teresa} ~~Stasia~~ z moją mamą, spokojnie przyjąłam ten niesprawiedliwy wyrok i konieczność odsi^złki w Samborze.

Po przywiezieniu mnie z Chyrowa do Sambora zostałam w tamtejszym więzieniu skierowana do pralni więziennej. Miałyśmy nie przepełnione, nieźle urządzone cele, dostawałyśmy lepsze wyżywienie, lepszą odzież

a więźniami byli ludzie z najbliższych okolic, a więc Polacy / tych był-o mało, ponieważ wielu wyjechało do Polski/ i Rusini, którzy teraz nazywali się Ukraińcami.

Miałam też dużo szczęścia, ponieważ w więzieniu był mój daleki krewny Michał Szczur ze Smolnicy. Odbывał on karę półtora roku więzienia za to, że pobił „połowę silrady” /przewodniczącego rady gminnej/. Wtedy wszyscy musieli pójść do kołchozu, spółdzielni produkcyjnej a każdemu zostawiano działkę przyzagrodową, dla potrzeb członka spółdzielni. Przewodniczący szykanował Michała Szczura, nie chciał mu dać takiej działki przyzagrodowej, jaka przysługiwała mu według przepisów o spółdzielniach rolniczych, szykanował go, co spowodowało, że zdenerwowany Szczur „dopieprzył” przedstawicielowi władzy. W sądzie w Chyrowie, do którego Szczura dostawiono, otrzymał on- stosunkowo łagodny wymiar kary, gdyż uznano, że przewodniczący nie był w porządku, ale z drugiej strony nie można podważać autorytetu władzy. Gdy przyszedłam do więzienia mój krewniak już odsiedział rok, znał doskonale warunki więzienne, pełnił funkcję ślusarza więziennego, poruszał się po więzieniu swobodnie, a nawet wychodził na miasto. Zawdzięczał to temu, że równocześnie był bardzo dobrym rzeźnikiem, doskonale przyrządzał wędliny. Toteż bił świnie nie tylko maczelnikowi więzienia i zatrudnionym w więzieniu pracownikom, ale wychodził na miasto, by na polecenie naczelnika bić świnie u jego przyjaciół. Oczywiście z każdego takiego wyjścia przynosił do więzienia nieco różnych wyrobów, które mu dawano :kiszki krwawe i pasztetowe, czasem mały salceson, kiełbasę. Oczywiście Szczur dzielił się tym z współwięźniami ale i mnie czasem coś podrzucił. Ponadto dawał mi chleb, nawet nieraz słodczyce, słowem w tym więzieniu było mi całkiem znośnie.

Ponadto jego żona dostarczała mu do więzienia paczki, z których nieraz i mnie coś przekazywał. Szczur opowiadał mi, że jednego razu, gdy żona zabiła na święta świnie, z której część wyrobów miała być przeznaczona dla Szczura, przyszli z lasu banderowcy i domagali się, by

im dała połowę świni. Chociaż było już trzy lata po wojnie, to w okolicznych lasach ukrywali się jeszcze banderowcy, którzy nie wycofali się z Niemcami. Wśród tych banderowców, którzy odwiedzili Szczurową był Prokopiak z Krościenka, syn robotnika kolejowego. Jak się później dowiedziałam, w czasie jednej z obław urządzanych na banderowców, ukrywających się w podkarpackich lasach u podnóża Bieszczad tego Prokopiaka zastrzelił jego kuzyn, który musiał brać udział w obławie. Jednak Szczurowa nie dała im świni, płakała, że ma w więzieniu nie tylko męża, któremu musi donosić paczki, ale i kuzynkę. Pytali więc banderowcy, kto jest tą kuzynką: „Wtedy Szczurowa wyjaśniła, że to Minka Maszczak, zamężna Wolfowa, która siedziała w lagrze w Warkucie a teraz odbywa rok więzienia za ^{nie}bezpieczne przebywanie w sferze przygranicznej. Banderowcy zrezygnowali z podziału świni.

Ten rok więzienia minął mi dość szybko a gdy wychodziłam z niego w dniu 24 stycznia 1949 r. naczelnik więzienia dał mi zaświadczenie, że mam prawo mieszkać w Krościenku. Wróciłam więc do swej wsi, ale dom mój był zajęty, zamieszkałam więc u sąsiadów i pracowałam w kołchozie.”

Z a m i a n a t e r e n ó w

Pani Maria kontynuuje swe wspomnienia: „Po powrocie z więzienia nawiązałam kontakt korespondencyjny z mamą, która dalej wychowywała Tereskę i dawała mi wiadomości o Stasi, pozostającej w Niemczech u rodziny męża. Pracowałam w kołchozie, gdzie zarabiałam bardzo mało, gdyż był tam bałagan, dużo urzędników i nadzoru a wyników mało.

W roku 1951 nastąpiła zamiana terenów Między Związkiem Radzieckim a Polską Rzeczpospolitą Ludową. My oddaliśmy bolszewikom Sokalszczyznę z węzłem kolejowym w Sokalu, natomiast bolszewicy oddali nam rejon Ustrzyk Dolnych z częścią Bieszczad, zdewastowanych po walkach z bandami UPA, ale bez węzła kolejowego w Chyrowie. Węzła bardzo ważnego, bo łączącego Przemyśl z Sanokiem, wiążącego Bieszczady najkrótszą drogą kolejową z krajem.

W tym czasie z Polaków w Krościenku - poza Bernasiewiczównymi, które wszystkie : Wiśka, Ludwinka i Helka wyszły zamąż za Ruskich, została tylko ja. Organizujące wyjazd z Krościenka NKWD^Y nie pytało, czy chce wyjechać, czy zostać. Wszyscy musieli wyjechać. Załadowano nas na stacji w Krościenku do podstawionych wagonów i wywieziono w różne rejony ZSRR. Część naszych mieszkańców umieszczono w Sokalu i okolicy na miejsca wysiedlonych stamtąd Polaków, mnie zaś z dużą grupą Polaków wywieziono aż do Doniecka.

Tam wraz z innymi przesiedlonymi z Krościenka skierowano mnie do kołchozu, w którym mieszkałam w jakby hotelu robotniczym /„obszczerzytje”/ i pracowałam w kołchozie. Wyżywienie bardzo słabe i jednostajne, jadałam w stołówce kołchozowej. Zarobki były bardzo niskie a w naturze otrzymywałam bardzo niewiele, ponieważ żywiłam się w stołówce. Ponadto klimat tamtejszy, urodzonej i wychowanej w górach zupełnie mi nie odpowiadał. Postanowiłam więc opuścić ten kołchoz i udałam się na zachód aż do Mizunia koło Wygody. Był rok 1952. Były to piękne góry, Beskid wschodni, Wygoda leżała nad czystą rzeką Świcą, dopływem Dniestru /tak jak mój Strwiąż/ a Mizuń nad rzeką Mizunką. Pracowałam u lekarza Bubeka Jakima Wiktorowicza, zajmowałam się prowadzeniem gospodarstwa domowego i dziećmi. Byłam traktowana bardzo dobrze, czułam się doskonale, ale bardzo tęskniłam za córeczkami i matką. W tym obwodzie zwanym Iwano-Frankińskim /przed wojną województwo Stanisławowskie/, ludzie byli ^u dobrzy, przeważnie Rusini ale było i nieco Polaków, pozostałych mimo repatriacji do Polski, w której większość Polaków wyjechała, by żyć trochę lepiej.

Mówiono mi, że przed wojną w Wygodzie gdzie był tartak firmy „Silwinia” i tartak państwowy mieszkało wielu Żydów, pracujących w tym prywatnym tartaku i prowadzących handel. Gdy ja pracowałam w Mizuniu i jeździłam do Wygody, Żydów już tam nie spotykałam. Wszyscy zostali wymordowani przez Niemców.

W roku 1954 dostałam już wiadomość od cioci, która była na Sybirze, gdzie znajduje się mama. Odrazu w pierwszym liście do niej prosiłam, by mnie sciągnęła do Polski. Mama mi zaraz odpisała, przysłała mi zdjęcia moich córek Stasi i Tereski. Pisała, że była w Warszawie, ale niczego nie załatwiła, powiedzieli jej, że czas repatriacji minął, że nie mogę wrócić do Polski. Ja jednak z wyjazdu do Polski nie rezygnowałam. Od prowadzących sklep w Mizuniu /on był kusi, ona miejscowa Ukrainka z okolic Doliny/ dowiedziałam się, że w pobliżu mieszka ksiądz z Węgier, mówiący po polsku, który pomaga ludziom, załatwia różne sprawy także repatriacji. Jedną kobiet opowiadała, że już jej załatwił sprawę repatriacji do Polski.

Udałam się więc do niego, dałam mu 25 rubli /były to znaczne wówczas pieniądze / za fatygę. On sam napisał do mojej mamy list po polsku, aby pojechała do Warszawy, podał dokładny adres dokąd, by złożyła tam podanie o repatriowanie mnie do kraju z oświadczeniem, że bierze mnie na swoje utrzymanie. Do podania ma załączyć zaświadczenie z gminy, że prowadzi gospodarstwo rolne i jest w stanie zabezpieczyć mi utrzymanie.

Po jakimś czasie dostałam wezwanie z obwodu, z Iwano -Frankiwska /Stanisławowa/ by dostarczyć dokumenty i zaświadczenie oraz 12 /dwanaście !/ zdjęć. Jeździłam tam kolejno co jakiś czas kilka razy, gdyż wciąż coś im się nie zgadzało, wreszcie 9 lipca 1956 roku otrzymałam mały papierek „udostowierenie”, upoważniający mnie do wyjazdu do Polski. Zaraz wyjechałam przez Lwów - Mościska -Przemyśl i przybyłam do mamy na Śląsk. Mama mieszkała w Czeskiej Wsi, powiat Brzeg.

Jako repatriantka otrzymałam 3 ty. zł zapomogi, kupiłam sobie za te pieniądze szafę, łóżko, od mamy dostałam krowę i parę kur. Myślałam nie pozostawać na Śląsku Opolskim, lecz wracać do Krościenka.

Na wywóz rzeczy z Opolszczyzny potrzebne było zezwolenie. Pojechałam więc do Opola po to zezwolenie. Ale ten pan, który te sprawy załatwiał, mówi do mnie: „Gdzie Pani jedzie na tę Ukrainę? Po co? Pani

tu przyjechała jako repatriantka, ma pani obywatelstwo, może pani dostać dom za ten pozostawiony na wschodzie, może dostać gospodarstwo albo pójść do pracy, niech pani sobie coś wyszuka a jak nie, to my pani wyszukamy." Namawiał mnie, bym nie wyjeżdżała a urządziła się na Opolszczyźnie.

Jednakże ja już tu w Krościenku zaczęłam remont tego mego budynku, który mi wojsko przekazało jako ruderę, wzięłam na remont z banku pożyczkę 6 tys zł, liczyłam, że ojciec mi z Ameryki pomoże i pojechałam do Krościenka,

Wkrótce zostałam zaangażowana jako sprzątaczką do sąsiedniego Ośrodka Zdrowia, gdzie miałam dobre warunki pracy i wynagrodzenie. Tu dożyłam emerytury.

Zycie, jak większość Polaków w naszych stronach miałam trudne. Doznałam największych przykrości w więzieniach i łagrze workuckim. Doznawałam poniżenia najgorszego, jakie człowiek może zgotować człowiekowi, ale dożywam swych dni w innych warunkach w tym moim Krościenku, w którym się urodziłam i o którym marzyłam w dalekiej Workucie."'

opisane przez Panią Danę Klimpę